



## Irena Wołoszczuk-Kropka

Sygnatura notacji: **N0538**

Data urodzenia: **10.02.1933 r.**

Data nagrania: **24.05.2012 r.**

Miejsce nagrania: **Konsulat Generalny RP, Toronto, Kanada**

Prowadząca/y rozmowę: **Zofia Kunert, Konrad Starczewski**

Czas nagrania: **60 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



### TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Nazywam się Irena Wołoszczuk-Kropka. To jest panieńskie nazwisko. Zostaliśmy wywiezieni do Rosji. Dlatego, że tatuś miał osadę wojskową, które były nadane żołnierzom, był odznaczony Krzyżem Walecznym i ziemie, które otrzymał, założył dość dobry majątek i uprawiał, i tak dalej. Chociaż sam nie potrafił tego zrobić, pochodził z miasta. Ale mając pomoc. Nazwisko pan Marchwacki, który był agronomek, przyjeżdżał dwa razy do roku przynajmniej, żeby zarządzić w jakiś sposób, te plony mają być zmienione z miejsca na miejsce, nie wszystko w jednym czasie. I dobrze, nieźle się nam powodziło. Mieliśmy piękne łąki nad Horyniem. Bardzo często osadnicy, bo ich było 16 w Antoninie, zbierali się na różne majątki i byli zżyci ze sobą bardzo dobrze. Nawet była dla starszych dzieci, które się urodziły w Antonie pierwsze, była prywatna szkoła, tylko płacono za osadników. Młodzież dorastała, wyjeżdżała za miasto, ale następne pokolenie przychodziło, tak jak ja, mój brat i cała masa innych. Czy wspominałam, że było 16 osadników? Nazwisk nie będę chyba wymieniać. Co jeszcze bym powiedziała? Że bardzo przyjemnie nam się żyło, bardzo dobrze, zgodnie, bo wszyscy byli koledzy właśnie. Wykształceni, nawet jeden pan, Jermulski, to był burmistrzem miasta Dąbrowicy i z przyjemnością wszyscy się spotykali w kościołach i tak dalej. Nawet ksiądz Żmijewski, który był kapłanem z wojska był bardzo dobrym kolegą, odwiedzał często swoich osadników. Przyszedł czas, że każdy się spodziewał, że nadchodzi sytuacja, że może być wojna. Bardzo dużo osób było zaciągniętych do wojska z powrotem ze względu na to, że jakby nie było, trzeba było bronić Polskę. Nic to nie pomogło. Cała masa wróciła z powrotem, ale trafiła znowu na inną sytuację. Rosjanie tylko wstąpili i zaczęli mordować. Jednego z osadników zastrzelili. To był prawdopodobnie pan Jermulski. Resztę kazali tak jak bardzo wcześnie... Przepraszam, ale muszę cofnąć się. Muszę powiedzieć, co się stało, jak tylko wstąpili na osadę. Właśnie nie wiedząc, nikt nie wiedział o tym, że już zajęli tę ziemię, część Polski. Zaczęli na polach zbierać wszystko, co mogli. Od kartofli, kapusty, to, co nie było

jeszcze zebrane w jesieni, ładować na lory, żeby to wieźć do Dąbrowicy. To był właśnie punkt, gdzie był już pociąg i tak dalej. Co się stało? Tatuś był w tym czasie w domu, ale nie pokazał się. Wiedział, że ktoś przyszedł i powiedział, że tam na polach zbierają. Mieli specjalne mundury i te czapki takie z tymi. Nie wiem, to były takie punkty na głowie. I wiedzieli, że to już Rosjanie. W każdym bądź razie tatuś nie wychodził z domu, dlatego, że się obawiał, że oni mogą przyjść, to wtedy się załatwi, co będzie trzeba. Doszło do tego, że nazbierali całą masę jarzyn i wszystkiego, co tylko mogli na polach, załadowali to na duże lory wojskowe. Jakby nie było, w tej części Polski to jeszcze autami się dużo nie jeździło. Bardzo rzadko. Były bryczki, wozy i tak dalej, bo to były ziemie uprawne. W każdym bądź razie starali się przejechać przez mostek w Antoninie, który był tylko przeważnie dla wozów i bryczek, i tak dalej. Dla koni. To wszystko im się zawaliło, bo to był ciężar okropny. To nie było, prawda, zbudowane na transportowy przejazd. Ale to może nas trochę cieszyło, bo wiedzieliśmy, że dla nich to jest kara, że nie powinni tego robić, to jest nie ich własność. Ale nic, na tym się skończyło. Zebrali to wszystko i nic więcej nie słyszeliśmy, co się działo w Dąbrowicy i z wojskiem rosyjskim, i tak dalej. Czekaliśmy na... Nie wiadomo, co nas będzie czekać.

**Zofia Kunert:** Przepraszam, ile pani miała wtedy lat, jak wojna wybuchła?

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Proszę pani, skończyłam 10 lutego siedem lat. Jak raz, jak wtedy nas wypuścili. Ale że mogłam czytać i znałam język, głuchoniemych alfabet, że mogłam... I do tej pory pamiętam. Ale to się nauczyłam od gościa, który u nas przebywał jakiś czas. Ale to, że ja byłam zainteresowana wszystkim. W ogóle starałam się, byłam ciekawa dookoła siebie i wszystko musiałam wiedzieć, co się dzieje. Jeśli coś było, tatuś, ktoś przyjechał, to już wtedy mogłam czytać. Nauczyłam się czytać. Tatuś mi kupił specjalną książeczkę na łańcuszku i ja z otóweczkiem, też nie mogłam napisać jeszcze może wszystkiego, ale narysowałam sobie. Tak że pamięć, do tej pory pamiętam wszystko tak dokładnie. Nawet pamiętam, jakie nawozy były użyte. Wtedy były już używane nawozy sztuczne. Przeważnie były sprowadzane tak jak maszynerie i tak dalej. Z Anglii i z Niemiec przeważnie to wszystko. Nie każdy kupował sobie osobiście, dlatego, że to było drogie, ale między sobą załatwiali, żeby mieć do użytku odpowiednie maszyny i tak dalej. Muszę teraz w dalszym ciągu mówić, co się stało, jak nas wywozili. Zanim nas wywieźli, przyszli... Jakiś może tydzień potem okrążyli nasz dom i mogli zabierać wszystko, po prostu rozkołaczali, jak oni nazywali. Zabrali wszystko, co tylko im się podobało. Przeważnie zwierzęta i tak dalej. Tam meble nie. Lustro jedno wyciągnęli, to się rozbiło, to już nie ruszali. I prócz tego mieliśmy, mówiłam, że dwie panie Ukrainki, które miały zajęte u nas miejsce i z rodziną były. Jedna się nazywała Pałaszka, druga Luba. Młode były. Nawet byłam taka ciekawa, że ona przywiozła... W jadalni... Urządzona jadalnia była w ten sposób: duży stół, ale jak to ogrzewanie, proszę pani, to nazywali [grubi? niezrozumiałe, 00:07:47], to zdaje się po niemiecku. To były piece kaflowe, które sięgały aż do samego sufitu i były otwierane, później zamykane, żeby było ciepło. Normalnie część była na drugiej stronie sypialki i tak dalej. W każdym bądź razie ona sobie to zajęła. To była część jadalni, tylko dla niej. A w sypialce razem były w jednej, bo nie było tyle sypialek. W każdym bądź razie ona... Byłam tak ciekawa, że ona musiała pokazać mi, co ona robi. Kołowrotek miała. Nawet nauczyła mnie prząść. To mnie bardzo ciekawiło. Ale mnie to nie wystarczało. Musiałam pójść i zobaczyć, jak ona mieszka. Zgodziła się i mamusia mówi, nie z wielką chęcią, bo się obawiała, bo to było dość daleko za osadą. W każdym bądź razie poszłam. Poszłam zobaczyć jak ona mieszka. Bardzo grzeczna była i tak dalej, ale tylko wstąpiłam. Może nie powinnam tego mówić dlatego, że teraz my jesteśmy w takiej zgodzie z Ukraińcami. W każdym bądź razie mama jej była bardzo zdziwiona. Powiedziała: „Po co tego polskiego

szczeniaka przyprowadziłaś tutaj?” . Ja rozumiałam dobrze, co ona powiedziała. Tylko przy drzwiach zobaczyłam, bardzo ładnie, czyściutko było, wszystko ten. Dywany na drążkach takich, piece i tak dalej. Zakręć, za drzwi i przyszedłam do domu, i powiedziałam mamusi. Mamusia mówi: „O Boże święty, po coś ty poszła?”. Ale byłam takim dzieckiem, że musiałam wszystko wiedzieć i widzieć. Później, po jakimś czasie, w nocy, to już minęło trochę czasu, nie pokazywały się, nie przyszły. Nie wiedzieliśmy jaki powód, ale później się dowiedzieliśmy, co to za powód był. Powód był, że przyszli w nocy, proszę pani, gdzieś o czwartej w nocy, z karabinami, aresztowali tatusia. Musiał stać w kącie, z karabinem jeden z tych żołnierzy, a mamusia miała spakować, czworo dzieci było. Miała spakować wszystko, ubrania trochę, to, co możemy, trochę jedzenia i tak dalej. „Resztę wam nie potrzeba, bo tam, gdzie jedzicie, tam wszystko jest”. Okazało się. Wobec tego wsadzili nas. Nie wolno było zabierać dokumentów, bo to wszystko zabrali od nas. „Tam wam nie potrzeba, tam wam damy nowe”. W każdym bądź razie doszło do tego, że to, co mogła mamusia, szczególnie pościel i to wszystko zabiera, ciepłe ubrania. Tatuś mówi, że może... Nie rozmawiał w tym czasie, ale przedtem były rozmowy, że tam możliwe, że nas wywiozą gdzieś do Rosji. W każdym bądź razie wsadzili nas na sanki, zawieźli do Dąbrowicy. Tam już pociąg był gotowy, już było więcej osadników zebranych z tej samej osady. Załadowali nas, zaplombowali i z karabinami. Jazda. Jechaliśmy, nie wiedzieliśmy, gdzie jedziemy, ale każdy się starał przez te... Wagony jak były urządzone, muszę to powiedzieć, dlatego, że to było bardzo ważne. Były takie prycze zrobione podwójne. Po jednej i po drugiej stronie. Pośrodku była dziura wycięta w podłodze. To była ubikacja. I był duży piec, w którym palili drzewem i tak dalej. To było całe urządzenie. W każdym bądź razie potem wieźli nas, proszę panią, dłuższy czas. Tak jak wspominałam, że nie zatrzymywali się przy stacjach, tylko z daleka po kipiatoki. Tylko jedna osoba mogła iść z wiadrami. Albo dwie. Zależy, ile było w pociągu. Czasem było 40 osób. Tak że żeby nabrać kipiatok, nazywali. To gorąca woda. I właśnie ci, co mogli, to wyszli, to reszta, proszę pani, czekali. Co, kto miał, co zabrał ze sobą jedzenie, to się... Dzieci małe były, starsi ludzie. Ten strach i to wszystko. Matki, które karmiły dzieci. To było bardzo trudne. Już były tak zestresowane, że... Tak że bardzo dużo, proszę panią. Bardzo dużo dzieci w drodze, jadąc, to najgorsza zima była w tym czasie. Tak że jadąc tym pociągiem ludzie umierali, zawijali w prześcieradła czy co rodzina miała i wyrzucali z pociągu. Ale to przeważnie były wyrzucane, gdzie były lasy, gdzie już nie było domów i tak dalej. Oni to trzymali gdzieś, nie wiem, i wyrzucali. Proszę pani, bardzo dużo dzieci, szczególnie niemowlęta. Pani sobie wyobraża, jaka to była straszna rozpacz. Dlatego, że po prostu nikt nie wiedział, co się stanie. W każdym bądź razie jechaliśmy chyba ze trzy tygodnie. Pamiętam, jak przyjeżdżaliśmy niedaleko Moskwy. Te poszczególne miasteczka to raczej nie pamiętam. Dlatego, że po prostu nie chciał nikt nawet wymawiać, nie chciał myśleć o tym, gdzie jedziemy. W każdym bądź razie jadąc... Jechaliśmy koło Moskwy i każdy zdawał sobie sprawę już, gdzie jedziemy. Bo to z daleka było widać światła i tak dalej. I budynki. To było w nocy. W każdym bądź razie minęliśmy Moskwę. Proszę pani, jechaliśmy jakiegoś... Trudno mi powiedzieć, może jeszcze koło jakichś dwóch tygodni. To się wszystko powtarzało, choroby i śmierć, i tak dalej. Dojechaliśmy do Koftasu, tak jak już wspominałam. Dojechaliśmy do Koftasu. Ten pociąg się zatrzymał i tam wysadzili. Ja myślę, że może było jakieś 60 osób. Rodziny. Przeważnie rodziny. Czekały już sanki gotowe. Jeden koń. Załadowali nas na te sanki, rodziny, każda rodzina miała swoje te sanki i jechaliśmy dłuższy czas przez lasy. Zatrzymywaliśmy się tylko na noc. Okropna była jazda, bo śnieg był okropny. Zatrzymywaliśmy się tylko na wieczór, żeby przenocować. To były jakieś pobudowane takie szopy ze słomą i wszyscy tam, gdzie mogli, tyle ludzi, ile mogli tam ulokować. Tak że przenocowaliśmy i było w dalszym ciągu to samo. Jechaliśmy prawie może niecałe dwa tygodnie tymi lasami. Dojechaliśmy do pierwszego punktu. To się nie nazywał posiołek to był punkt. To już był nad rzeką Viled. I tam trzymali nas, ulokowali w takich barakach, gdzie, w jaki sposób

te baraki wyglądały, pamiętam. Na środku było takie koło, tak że tam ludzi umieszczali, tam spali, i wzdłuż dookoła te prycze były i tam rodziny się układały. Były mieszane. Tam mieli poprzednio Ukraińców, tak że ich ulokowali gdzieś indziej, zabrali stamtąd. Trzymali nas tam do końca prawie marca. Mój brat już miał 16 lat, najstarszy i dostał pracę, dowoził chleb w takiej skrzyni. Nie wiem, skąd ten chleb był dowożony. Nigdy nie pamiętałam go się pytać, tylko że był chleb, to było najważniejsze. I dowoził, to miał 16 lat. I raz to się taka tragedia stała, że myśleliśmy, że on się zgubił gdzieś w lesie. Gdzie to było? Ale dojechał. W każdym bądź razie to tak trwało, tam dawali nam trochę jakiejś zupy, później wodę gorącą, ale jeszcze każdy coś tam wyciągał, co możliwe. Nie dużo, dlatego, że kto się spodziewał, że to będzie. Przecież może gdzieś tam umieszczą nas. W każdym bądź razie do końca marca prawie, jeszcze luty był na rzece Viled. W każdym bądź razie wsadzili nas na sanki znowu, zabrali ludzi. Raz po lodzie, bo to jeszcze był mróz. A las... Czasem zjeżdżali po brzegu, gdzie już ten mróz nie był mocny, żeby mogły utrzymać sanki. Jechaliśmy, nie mogę powiedzieć dokładnie, bo to było bardzo trudno w tym czasie, bo to każdy był jeszcze wystraszony, gdzie teraz jedziemy. Ale w każdym bądź razie jechaliśmy może z tydzień tymi sankami. I właśnie dojechaliśmy do Vitjunina. Tą rzeką. Dojechaliśmy tam. Tam już były baraki przygotowane. Osadzili ludzi w barakach. Nawet miałam zdjęcie. Rysunek dokładny, bo to był inżynier z Anglii, książka była wydana bardzo ciekawa. W każdym bądź razie ulokowali tam ludzi. Tam już był mały sklepik, można było sobie kupować coś, tylko jak był chleb, to było ileś tam gramów na osobę. Ile i kto wyrobił przy pracy. W każdym bądź razie tam już się ulokowaliśmy, byliśmy ulokowani na stałe.

**Zofia Kunert:** Czy ojciec był wtedy z państwem?

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Tatusz jeszcze w dalszym ciągu był, tatuś i cała rodzina. I tam byliśmy, to było w 1941 roku. Już jesień była. W każdym bądź razie tam każdy musiał pracować, nawet i dzieci. Ale mnie dali Jasełka. I nauczyłam się wierszyka. I po rosyjsku pamiętam, ale nie powiem, o kotku. Wlazła koszka na akoszka zamurłytką wa śnie-czto tiebie słucziłoś koszka – myszki dwie. To pamiętam. Tyle się nauczyłam. To mi się podobało. Wiedziałam, co to znaczy po polsku. Tatusz mi przetłumaczył. W każdym bądź razie długo to nie potrwało, dlatego, że ja się zbuntowałam i nie chciałam, bo tam chłopcy i tak dalej. Tam dziewczynki, chłopcy, dzieci. Hałas był i tak dalej. Ja powiedziałam, że nie pójdę. Ale oni się zgodzili na to. Nie chce, to nie potrzeba. W każdym bądź razie nawet dzieci musiały pracować, bo to już nad rzeką Viled, to już tam były banie, tam były przygotowane, z lasu przywozili olbrzymie kłody. Tam układali, bo ta rzeka była dość szeroka. W każdym bądź razie pracowały nawet dzieci, które tak jak Zygmus, Basia i Janek to już w gimnazjum byli. Musieli pomagać mamusi. To drzewa były rąbane na metry i były układane w metry kwadratowe. To były, ja myślę do opatu, nie wiem. W każdym bądź razie to cały dzień była praca. Tam przewozili, cieli, a reszta mężczyzn i nawet niektóre kobiety, które uważali, że mogą pracować w lasach. Lesoruby to nazywali. Że musieli pracować, to ścinali te drzewa i konie to zwoziły te drzewa nad samą rzeką. Tak że to trwało prawie dłuższy czas. I też były okropne tam, tam było bardzo trudno, chociaż tam wyrobiło się normę, żeby dostać chleb na osobę. Ale były braki. Ludzie chorowali. Ja też zachorowałam, dostałam, nie wiem, jakąś chorobę, że po prostu myślałam, że mamusia myślała, że ja stracę wzrok. W jaki sposób, nie wiem, jak to się stało, że jakaś tam Ukrainka czy Rosjanka dostała suszonego chleba. Ale mamusia musiała za to... Nie chleba, tylko raczej to był chyba jeleni czy jakieś dzikie z lasu. To mnie troszeczkę ratowało, w każdym bądź razie nie straciłam wzroku. Było przykro, ale trudno. Dłuższy czas każdy się starał, żeby te dzieci utrzymać, bo dzieci chorowały. To przecież nie było nic, ani owoców, ani

odpowiedniego wyżywienia i tak dalej. Ale były w lasach grzyby, były w lasach jagody i to przeważnie mogły tylko chodzić dzieci albo jedna osoba starsza zbierać. To bardzo pomogło. To można było mrozić na zimę. Grzyby też tak samo. I to raczej ratowało nas. Ale dużo osób zmarło. Mój wujek zmarł w Rosji. Najpierw był aresztowany, później był... Jaki powód, nie wiadomo było. To był mojej mamusi brat. To była ciocia, te dwie rodziny. Raz mieszkaliśmy przy rzece w Antoninie i wujek prawdopodobnie zbłądził. Zbłądził w lesie i nie mógł wrócić z powrotem. Znaleźli go, ale już prawie nie żył. I później jakiś tydzień czy coś, zmarł w Rosji. Poza tym z mojej rodziny my się utrzymaliśmy wszyscy. U cioci też było troje dzieci. Była jedna córeczka, która miała jakieś trzy miesiące. Anusia. Zmarła, bo nie było mleka, nie było nic. Tak że dużo ludzi straciło, dużo ludzi zmarło. Szczególnie starszych ludzi. Tak że to było bardzo przykre, ale ci, co mogli się utrzymać, co mogli pracować, to już jako tako można było... Bo nie mieliśmy żadnej nadziei, proszę pani. Nam powiedzieli, że tutaj jest wam dobrze i że Polskę zobaczycie, jak włosy na ręku wyrosną. To nas ostrzegali o tym. Tak że pracuj i nie mów nic. Pamiętam zorze, Archangielsk, północ. To było tak straszne. Ludzie po prostu szukali czegoś, żeby sobie przynajmniej myśleć, że to jakieś zbawienie, że to będzie jakiś cud. To były też zorze polarne. I to pokazywali na niebie. Dopatrywali się jakichś cudów, że tam naprawdę jakiś znak jest i tak dalej. A to było zaskakujące. Dla dzieci to było okropne. Ale tatuś zawsze tłumaczył. Zawsze musiałam, tam najmłodsza byłam. Tatuś zawsze się zajmował i tłumaczył. Ja właściwie cały czas się trzymałam tatusia. Tak że to przeminęło i w dalszym ciągu ludzie sobie zdawali sprawę, że muszą to robić. Co będzie, to będzie. Niektórzy dostawali, ciekawe, że niektórzy dostawali paczki. I nawet otrzymywali, to był bardzo... Kto miał rodzinę, którzy mogli, bo w większości rodziny nie były. To bardzo pomagało i ci ludzie pomagali, na przykład małe dzieci i tak dalej, wzajemnie sobie pomagali. To było bardzo ważne. Tak że, że to było naprawdę ciekawe.

**Zofia Kunert:** Ale w tym posiołku wtedy byli tam głównie Polacy czy też inne narodowości były?

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Nie. Tylko Polacy. Tylko Polacy i Rosjanie, obsługa i to wszystko. Tylko Polacy. I to było dość daleko, koło Archangielska, na północy. Jeden z najdalszych tych. Oni uważali, że stracić tych żołnierzy polskich tak jak tatuś miał, ile, ochotnik i miał 19 lat, prosto ze szkoły poszedł na ochotnika na wojnę w 1918 roku. Tak że dla nich to wrogowie. To oni musieli to wykończyć. Wspominali od czasu do czasu. Dzieci wszystko słyszały. Dzieci między sobą i tak wszystko słyszeli. W każdym bądź razie mijał czas i doszło do tego, że we wrześniu, pamiętam datę, to było 14 września, jak ogłosili amnestię. To była taka uciecha wielka, ale ci, co przeszli wojnę, tak jak mój tatuś i tam inni osadnicy byli, po prostu nie chcieli w to uwierzyć. Doszło do tego, że po prostu nie chcieli wyjeżdżać na zimę. W większości pozostało na Vitjuninie. Jakies może ze sto osób, jakies może najwyżej dziesięć tratw, nawet nie było dziesięć tratw. Musieli pobudować, ażeby się wydostać stamtąd, nie było żadnej kolejki, pociągów ani dróg nie było. Wobec tego musieli się starać w jakiś sposób wydostać. A tatuś mój powiedział: „Jedziemy dlatego, że nie możemy wierzyć”. W dalszym ciągu mówił „bolszewicy”. „Nie wiadomo, co przyjdzie im do głowy. Mogą w każdej chwili to wszystko zatrzymać. Jesteśmy w ich ręku. Wobec tego zaczęli budować tratwy. Dużo osób, tak jak cioci rodzina, Dąbrowskich, już wujek zmarł, były trzy dziewczynki i dwóch synów. Nie. Dwie dziewczynki i dwóch synów. Nikt by ich nie zabrał, musieli się przygotować, ażeby z nami. Później cała masa innych znajomych. Tak że pobudowali tratwy i ja myślę, że było około dziesięć tratw. To wie pani, te drzewa były zbijane i tak dalej. W każdym bądź razie wybierali się, co tylko mogli i zabrać ze sobą czy coś wykupić jeszcze można było, ubranie czasem pod przekupstwo. W każdym bądź razie zorganizowali to. My zabraliśmy cioci rodzinę i naszą. W każdym bądź razie wybraliśmy się

tą rzeką Viled do Kołtasu. Jeśli spojrzysz pan na mapę, proszę sobie zauważyć, jaki to kawałek drogi trzeba było jechać. Był problem z tym, że te drzewa namakały, dobrze mówię? I zaczęły, chociaż były na poprzek. Jak one były zbudowane? Była dookoła poręcz z tych kłód i były dwie z przodu, i z tyłu takie wiośta olbrzymie. Zapakowaliśmy się na te tratwy, ci wszyscy, co razem, jeden drugiemu pomaga. Jedziemy. Jechaliśmy kawałek drogi ze względu na to, że to były lasy, i lasy, lasy i tak dalej, nic więcej. Później zauważyliśmy, że po jakimś może tygodniu, może więcej, zauważyliśmy, że były pola. To były już kołchozy. To już było niedaleko... Jak się nazywa to miasto?

**Zofia Kunert:** Kołtas.

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Kołtas. Tych miast tyle mam pamiętać. Właśnie, niedaleko było Kołtasu. I wtedy zatrzymywało się na noc, i biegło się do tych kołchozów, żeby może przenocować, a szczególnie to, żeby te pola sprawdzić, czy wszystko było zebrane, czy można coś zebrać i się pożywić. Marchew i tak dalej, co oni tam, jakie mieli zasadzone, to jarzyn i owoców nie było. W każdym bądź razie wieczorami się nocowało. Tam dało się im jakieś ubranie czy coś, co tylko było możliwe. I później rano na te tratwy z powrotem. Dobrze wszystko szło. Jak zaczęły te tratwy tylko osiadać, to dzieci starsze, tak jak Zygmunt i Janek, musieli pomagać tatusiowi z tymi tratwami, jak kierować i tak dalej. A my resztę wysadzeni na brzeg i musieliśmy dążyć szybko, żeby wyprzedzić te tratwy w razie jakiegoś rozłączenia czy... Nie wiem, jak po polsku opowiedzieć. W każdym bądź razie mogło być jakieś odejście małych rzek i tak dalej. Wtedy ktoś leciał z powrotem, ażeby zawiadomić, żeby to przyjechać, tą tratwą do brzegu nas zawieźć i przywieźć tak. Tak jechaliśmy dłuższy czas. Jak dojeżdżaliśmy tam, gdzie więcej już ludności było, więcej kołchozów, to były trudności. Coś się działo. Oni łapali ryby i nastawiali... Jak to po polsku powiedzieć?

**Zofia Kunert:** Sieci.

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Sieci, ale to były...

**Zofia Kunert:** Albo zastawy takie.

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** To były sieci, ale to były zrobione z kołków i może tam były jakieś, coś tam, jakieś siatki. Tak że był mały tylko otwór w tej rzece. I właśnie jeden z tych wypadków, dojeżdżając, w większości mogli to przejechać i trafić w ten otwór i dostać się na drugą stronę. Nasi znajomi, to znaczy ta pani Iwaniakowa z córkami, bo właśnie ich zabrali na tratwie, ktoś inny, bo trzy córeczki tylko i to też najmłodsza miała może 3-4 lata. Rozerwała im się tratwa. Nie mogli trafić i ci wszyscy ludzie zaczęli pływać. Ale nikt się nie utopił. My musieliśmy zabrać ze sobą dwoje. Jedną dziewczynkę, później ktoś inny, żeby dowieźć do Kołtasu. W każdym bądź razie to nie było tragedii, tylko to, że były wielkie trudności. Ale wszyscy sobie pomagali nawzajem. Jechaliśmy dłuższy czas i też łądując na brzegu, żeby... Bo coraz gorzej było z tymi tratwami i dojechaliśmy do samego Kołtasu. Tam była Dwina. Tak że my dojechaliśmy, proszę panią, do Wyczegdy dlatego, że Kołtas był położony w takim miejscu jak pomiędzy i tam dojechaliśmy, zatrzymali się wszyscy i z tymi tratwami to już było na Wyczegdzie. Zatrzymaliśmy się tam, każdy sobie uczeplił te tratwy. Co trzeba, robi, wtedy jesteśmy wolni. Nikt nam nie pomagał. Zobaczysz, co się dzieje tutaj. I wybrali się w większości wszyscy mężczyźni zobaczyć, co się dzieje i co można zdobyć, czy jakiś pociąg i tak dalej jest. Rzeczywiście doszło

do tego, że postarali się zebrać pieniądze i dostali jeden wagon. I ci wszyscy ludzie, którzy byli na tych tratwach, byli załadowani do tego wagonu i zapłaciliśmy za ten wagon, byliśmy już zadowoleni, żeby tam już można było się rozdzielić i dzieci miały miejsce, żeby odpocząć. Ale zaczęli oglądać się tam dookoła, czy można cośkolwiek kupić, czy wymienić, bo jednak jedziemy gdzieś, gdzie idziemy. Za nimi dojechaliśmy do Taszkientu. To były postoje, wody i tak dalej można było. Druga rzecz była, że dzieci z wagonów, jak przystanek był, wylatywały, gdzieś jakieś domy czy coś, prosili o chleb i tak dalej. Bardzo często się spotykało, że te dzieci zostały. Tak że ktoś musiał z wagonu, ojciec czy ktoś zostać i te dzieci później... Tak że to bardzo... Raczej się starali, żeby tego nie robić, bo to było bardzo trudne. W każdym bądź razie jechaliśmy i dojechaliśmy do miasta Khasarasp. To już był Uzbekistan. Tam nas wyładowali. Pociąg pojechał. Na tyle wystarczyło, żeby do zapłacenia, do reszty to tam ich nie obchodziło. Wyładowali, to były już przygotowane, były stajnie. Nie wiem, czy to były konie, czy bydło. Ja myślę, że to były konie. W tym były hodowane, trzymane. Wyścielone słomą tak, jak tylko można było wysoko. Wszystkich tam załadowali. I co teraz będzie? Co teraz będzie? Kołchozy. Zabrali. Ja nie wiem jak to resztę, tak że nasi krewni, Dąbrowscy i tylko jeszcze inna arba to się nazywały te uzbeckie wozy na tych dużych kołach, wyładowali nas i wieźli. Nie wiem jak długo jechaliśmy. Chyba cały dzień jechaliśmy do kołchozu. Tam nas zawieźli i dali nam takie ciężkie bitki po jednej stronie, a po drugiej stronie był rosyjski nauczyciel. Mieszkał i tam była szkoła, to znaczy klasa dla dzieci. Tak że tam byliśmy jakiś czas. To było bardzo trudne. Jedzenia nie było. Dawali... Muszę się przyznać, jaka była odwaga, ja po prostu nie zdaję sobie sprawy. Dlatego, że mój brat, Roman, to jak miał 12 lat, ja miałam 7, były tam kozy i owieczki. Staraliśmy wtedy, jak już był spokój, jak to już wszystko z pola było ogrodzone takimi płotami, jak poszli już do swoich tych kibitek i tak dalej, tam oni trzymali mleko. Tak że mój brat podsadzał mnie przez ten płot, ja tam starałam się znaleźć, gdzie oni to mleko i wtedy, nie pamiętam, jaki miałam, czy dzbanek, czy coś, nie pamiętam. W każdym bądź razie troszkę podałam i uciekaliśmy. Jakby chyba złapali, to by zabili. Mówię pani, że by zabili. Ale człowiek nie myślał o tym, absolutnie nie myślał o tym. Dlatego, że był taki głód, taka nędza. Jak mówiłam, że zdechły wielbłądy czy jakieś, to to wszystko było mięso i tak dalej, to wszystko jedli. Psy jak mogli złapać, to był później kłopot ze względu na to, że oni szukali swoich psów, tak że to między sobą, że broń Boże nie robić tego. Dlatego, że to może być wielki kłopot. W każdym bądź razie czas upływał, ludzie zaczęli chorować, bo zaczęli jeść mięso. Tak jak ja wspomniałam, moja mamusia, nie wiem, ciocia chyba to samo, żeby nie jeść żadnej padliny, ale ludzie byli tak głodni, nie mogli i im się zdawało, że to mięso, chociaż może, nie wiem, znalezione na polu, to już musiało być dłuższy czas. Prawie wszystkie rodziny wymarły. Dzieci najpierw. A my się tak staraliśmy jak najwięcej, żeby utrzymać lebiodeę. Tak jak dzieci, tak jak Roman i ja. W każdym bądź razie jedliśmy tam jakiś czas makuchę. Wie pani, co to makucha jest? Jakieś nasienie. Ja podejrzewam, że to był... To nie był len, tylko konopie. Pani sobie wyobraża? Oni to w jakiś sposób mielili i robili takie duże placki. I oni tam dawali nam to. Proszę pani, jakie to było okropne, ale ludzie niektórzy jedli chociaż trochę. Jak pijana pani była. Ludzie chodzili, nie widzieli, po prostu jakby wypił butelkę i dopiero sobie zdali sprawę, że ten mak ma coś w sobie. Ja myślę, że to musiały być konopie. W każdym bądź razie to bardzo, bardzo rzadko ktoś miał apetyt na to, mimo to, że był głodny, bo się obawiał, że gdzieś upadnie i umrze. Trwało to jakiś czas. Szybko, to powiem, stamtąd nas zabrali z powrotem. Zabrali z powrotem, wsadzili na pociąg. Tatuś w tym czasie zachorował i został w Khasarasp. Ten konsul mnie naprawił, bo ja tylko mówiłam Hazrasp, a to trzeba było „K” dać. Wiem, że był Khasarasp. W każdym bądź razie wsadzili nas na pociąg i wieźli nas spory kawałek, aż prawie do końca linii kolejowej, gdzie się było nad rzeką Amu-Darią. Ja myślę, że to był Turkistan. Tam wysadzili nas, już trzy barki czekały na nas na rzece Amu-Daria. Czekwały na nas do kołchozu. I wsadzili nas na te barki, rodziny i wieźli nas, wyrzucali po drodze, gdzie, jaki kołchoz

przyjmował. W każdym bądź razie zajechaliśmy do kołchozu. Tam już było lepiej. Tam więcej się orientowali w sytuacji, bo to już, zdaje się, Niemcy się zbliżali. Oni słyszeli o tym. I ten w kołchozie cały "prezidatier", jak oni nazywali, był bardzo uprzejmy dla ludzi. Zbieraliśmy tam bawełnę. I troszeczkę było lepiej. Ale przyszedł czas, że znowu stamtąd pakować na barki i z powrotem. Wróciliśmy w to samo miejsce, skąd nas załadowali. Wyrzucili nas na, bo to była plaża, rzeka, tam nic nie było, tylko pustynie. W każdym bądź razie tam nas wyrzucili, rodziny wszystkie i pojechali sobie, i na tym się skończyło. I nie wiedzieliśmy co... Nic nam nikt nie mówił, nikt nam nie powiedział, gdzie mamy czy iść, czy jechać. Nikt po nas nie przyjechał. W każdym bądź razie, w tym czasie prawdopodobnie, że już się organizowało wojsko polskie. W tej chwili nie mogę sobie przypomnieć, ale wiem co to za miasto. Nie miasto, tylko obóz, gdzie był organizowany. Mogę to później powiedzieć, pani mi kartkę zabrała. Tam miałam napisane.

**Zofia Kunert:** Buzułuk, to...

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Buzułuk. Tak, Buzułuk. Tam się już organizowało naprawdę wojsko polskie i część, tak jak Zygmunt i Janek, już starsi chłopcy i cała masa innych, wybrali się. Nie za dużo, bo musieli iść kawał drogi. Tam nie było, żeby na pociąg wsiąść i tak dalej. Dłuższy czas gdzieś szli, później się dostali na pociąg i dostali się do Buzułuku. I tam zawiadomili, że taka i taka sytuacja. Zabrali nas stamtąd. Zabrali nas stamtąd i do wagonów, i później, już będąc to skracać, później załadowali nas do wagonów i pojechaliśmy nad Morze Kaspijskie.

**Zofia Kunert:** Do Krasnowocka.

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Krasnowock. Ja jestem zmęczona. Do Krasnowocka, tak. I tam dużo ludzi było. Tam już dawali, tam się dużo ludzi pochorowało, bo to dawali, nikt nie miał żadnego naczynia. To w chustki brali. Ja myślę, że to była jakaś zupa. Nie wiem, może fasola czy co było to mieszane. Tam wszystko i to ludzie, prawie każdy głodny. W każdym bądź razie tam nas troszkę podkarmiali. I wojsko dzieliło się swoimi porcjami bo dzieci małe i tak dalej. W każdym bądź razie tam byliśmy jakiś czas. To wszystko było spisane i tak dalej. Dostaliśmy się na okręt. To był pierwszy transport. Tam musieliśmy wszystkie ruble rosyjskie oddać, zabrali nam. I dostaliśmy się na okręt, przepłynęliśmy przez Morze Kaspijskie. To była część żołnierzy i to w cywilu. Właśnie miałam to zdjęcie. W każdym bądź razie dostaliśmy się do Persji, do Pachlewi. Tam nas wysadzili, bo to nad samym morzem. Tam przeszliśmy czystkę. Strzyżenie włosów, zmiana bielizny, ubrania i tak dalej. Tam był już Czerwony Krzyż i oni się starali, i tego. Kto był chory, zabierali do szpitala. I później w tej całej czystce, zmianie, podkarmieniu troszkę, blisko Teheranu do obozu. Tam w obozie byliśmy jakiś czas. Przystąpiłam do pierwszej komunii. To zdjęcie też mam. Do pierwszej komunii. To jedyne zdjęcie. Do pierwszej komunii przystąpiliśmy. Tam już się organizowali, już dzieci grupowali, żeby się zajmować nimi, podkarmiać. Tak że to było nieźle, tylko ile tam ludzi zmarło. Tam cmentarz przy Teheranie to jest kilometry. Dlatego, że to wszystko przez wycieńczenie, chorzy byli i to było po prostu trudno to wytrzymać. Każdy się starał, żeby chociaż utrzymywał się przy zdrowiu. Nic nie pomogło. Nic nie pomogło. Tam zmarła moja cioteczna siostra. Właśnie Dąbrowska Lodzia. Pochowana była. Cała ta obstawa i tak dalej nie była dobrze, niektórzy nie powinni się zajmować. Oparzyli ją i spalili. Zalali spirytusem i ona zmarła. To było okropne. W każdym bądź razie ja też wylądowałam w szpitalu. Ja też wylądowałam na tyfus. Właśnie zanim przystąpiłam do pierwszej komunii, to dostałam komunię tam. Ksiądz myślał, że ja już. Tyfus, świerzba, dyzenteria, co tylko można było wytrzymać, to wszystko tam było. I to dlatego ludzie



umierali. W każdym bądź razie uratowałam się. Wróciłam do mamusi. Dostałam pomoc w Teheranie. Jedna z pań, która była w wojsku, zabrała mnie do Teheranu do specjalisty i tam dostałam specjalne witaminy, dostałam specjalne krople i uratowali mnie. Jedno oko nie bardzo, ale jest w porządku. Później stamtąd wywieźli, pojechaliśmy do... Nie do Isfahanu do... Na okręcie jaki był port? Ja tego nie pamiętam. Nie pamiętam tego. W każdym bądź razie to była już angielska obsługa i tak dalej, i była... Obrona łodzi i tak dalej, bo to był pierwszy...

**Zofia Kunert:** Eskorta.

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Eskorta. To był kilka razy alarm i tak dalej, bo tam łodzie, Niemcy tam krążyli. W każdym bądź razie dopłynęliśmy. Dopłynęliśmy do... Czy nie płynęliśmy przez Kanał Sueski? O, naokoło. Karaczi, Bombaj, Indie, Pakistan. Później przez kontynent dostaliśmy się do Dar es Salaam. To już było w Afryce. Dar es Salaam. Tam jakiś czas my byliśmy, później dostaliśmy się na wagony i zaczęli rozwozić do obozów. Pierwszy obóz to był Itugal tam, gdzie ja nie byłam. Później był w Ifundzie, tam, gdzie ja byłam. Tam nie było dużo osób. To był mały. Bardzo było dobrze urządzone. Tam już było pod dostatkiem jedzenia. Za wyjątkiem mleka. Tam już były szkoły zorganizowane.

**Zofia Kunert:** Ale to Brytyjczycy organizowali?

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Brytyjczycy, bo to jest ich, Tanganika, Uganda, to brytyjskie kolonie były w Afryce. Tanganika, Uganda, i jeszcze jedna, ale to jest mało ważne. Tengeru był największym obozem w Afryce, w większości, bo to później był w południowej Afryce. To już tam jak nie wiem tego, że... Ja znam tylko, że to była: Fitugala, Ifunda, Hondo, Tengeru. To były te obozy, które były umieszczone w Tanganice, Ugandzie. Tam było już wszystko bardzo dobrze zorganizowane. Mieliliśmy dużo nauczycieli, dużo profesorów. Pani Osolińska, pan Osoliński. Też ta nasza arystokracja. Właśnie uczyła mnie, była opiekunką w trzeciej klasie. Bo ja przeskoczyłam zamiast do pierwszej, to do trzeciej. Tak że byłam troszeczkę... W każdym bądź razie już byłam w gimnazjum jakiś czas i ona właśnie była opiekunką bardzo miło, bardzo. Prawdziwa arystokracja, nieudawana. Naprawdę. Jakoś, nie wiem, polubiła mnie. Zawsze ze mną rozmawiała i tak dalej. Miała syna, który był w administracji w Tengeru. I córka, opowiadała mi, że zmarła w Rosji. Janinka. I jakoś może mogą być podobne. Zawsze ze mną miała naprawdę dogadanie. Zawsze mnie po... Była naprawdę wspaniała. Nawet jak się urodził wnuczek, to zaprosiła, mieli specjalne domki, nie tak jak ty my te okrągłaki ze słomą, banany i tak dalej, te liście. Miała specjalny, to się małpi gaj nazywał. Tam były dla naszych profesorów i tak dalej. Była szkoła powszechna, też ja myślę. Bo ja tam nie byłam długo. Ja byłam może jakiś niecały rok w Tengeru.

**Zofia Kunert:** Ale pani mama była tam z panią?

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Mamusia była i była moja siostra Basia, ale nie wspominałam, że mój braciszek Roman, już mieliśmy wsiadać na okręt i siostra Basia myśli, że... Miał temperaturę, może mu tam coś dadzą, bo tam patrzyli, nie chcieli, żeby transportowali chorych ludzi na okręt. I powiedziała, że tutaj mój braciszek źle się czuje, może trzeba mu dać jakąś tam pigułkę. Zabrali go, miał ile, 13 lat. Zabrali go, powiedzieli, mamusia nie chciała oddać. Powiedzieli, że jeśli nie odda syna, to odczepią, nie pozwolą wylądować z wagonu na okręt.

**Zofia Kunert:** To jeszcze w tym Krasnowocku?

**Irena Wołoszczuk-Kropka:** Krasnowocku. Właśnie ta cała ta tragedia. I zabrali go, i nie wiedzieliśmy, co się z nim stało. Dłuższy czas. Opowiadał mi Roman... On umarł rok temu niecały, w Anglii on mieszkał. I umarł. I ja, dla mnie ten kontakt to był bardzo ważny. W każdym bądź razie opowiadał, co się stało. Zabrali ich do szpitala, to był jeszcze jeden chłopczyk. Zabrali ich do szpitala rosyjskiego. Tam podleczyli, on miał tyfus. A ten chłopczyk mniej więcej w tym samym wieku. Zabrali do szpitala, podleczyli ich i już mieli ich zabrać ze szpitala, i oni podsłuchali, że w tym, bo oni tam gdzieś byli w pobliżu, bo zawołali ich, że oddadzą ich do konsomolców gdzieś, bo nie wiedzą, gdzie rodzina. Jak oni to usłyszeli, oni stamtąd uciekli. Jakim cudem, nie wiem. On mówił, że gdzieś przez okno się wydostali. I piechotą szukali wszędzie, żeby gdzieś się dostać, żeby ktoś im pomógł. Wskoczyli na jeden pociąg i ukryli się gdzieś tam, gdzie węgiel trzymali i tak dalej, gdzieś na samym ostatnim wagonie. I tam jechali tym pociągiem jakiś czas, zanim konduktor nie przyszedł i zobaczył ich. „Co wy tu robicie? Nie wolno wam”. Bardzo dobrze rozmawiał już jeden i drugi po rosyjsku i powiedzieli mu całą historię. Powiedzieli, że zostali odebrani od rodziny i że rodzina pojechała tam i tam. Był dobry człowiek. Mówi: „Dobrze, ja was tutaj schowam. Gdzie wy chcecie jechać?”, oni mówią, że tam, gdzie już się... Oni słyszeli, że tam się organizuje gdzieś polskie, gdziekolwiek, gdzie jest polska organizacja. Rosjanie już się spodziewali, wiedzieli o tym ze względu na to, że oni pociągi, oni wszędzie przyjeżdżali. Mówi: „Wobec tego ja was zawiozę tam, gdzie tylko będzie najbliżej i tam was wysadzę. Nie ruszajcie się”. Przyniósł tam im troszkę napić się i nie wiem, co tam jeszcze. I dowiózł ich do Bozofuku. I tam ich zabrali żołnierze, nakarmili, ubrali i dali do sierocińca. I on z sierocińca przyjechał do Teheranu. W Teheranie już było dobrze wszystko zorganizowane, spisana ludność, gdzie, kto był wysłany, rodziny. I odnaleźli. Prawdopodobnie, że był jakiś znajomy tatusia oficerem tam i jak usłyszał nazwisko Kropka, chciał dowiedzieć się, kto to jest. I znalazł małego chłopca. Trzymał go przy sobie jako... Jak się nazywa? Pucybut czy coś w tym rodzaju. Aż się dowiedział, gdzie rodzina: mamusia, ja i Basia, byliśmy wysłani. I wtedy się postarał, i jeszcze jedną dziewczynkę miał, która też jechała tym samym transportem, ale do Kitulgali I tam przysłali go. Jaki biedny, ogolony, chudy, spodnie potąd. Rozpacz. Ale się ucieszyliśmy, bo już był z nami i już wiemy, że żyje i jest z rodziną. A brat, Zygmunt, i Janek wstąpili do wojska. I właśnie Zygmunt się postarał, żeby tych ludzi, którzy, i my razem, ażeby ich zabrać do Bozofuku i to właśnie się wszystko udało. Dlatego właśnie my się dostaliśmy. A Zygmunt miał ile, 18 lat. Chyba nie skończył 18 lat, ale przyjęli. Nie wiem, to był, zdaje się, oni tam junaków, przecież generał Anders się starał jak najwięcej dzieci zabrać, sierociniec i tak dalej tam tworzyli, bo przecież tam masa była. W każdym bądź razie na tym się skończyła nasza jazda. Do Afryki przyjechalibyśmy, byliśmy tam dłuższy czas. Kształcili się na uniwersytecie, wszystko, były szkoły, organizacje, różne handlowe. I dlatego, że w większości ludzie nie wiedzą, „A, co to, z Afryki. To mój znajomy, on w szkole morskiej kadetem” i tak dalej, tak samo i mąż mój był Wołoszczuk. I to im się zdawało, że to nigdzie nie kształcili, tylko w Jerozolimie i w Palestynie. A my mieliśmy wspaniałe. Mieliśmy profesorów, mieliśmy całą masę, bo to wszystko było wywiezione. Nawet nasza arystokracja. Była cała masa. Dzieci kształcili od przedszkola i tam sierociniec, ksiądz Królikowski to był taki młody. Ja pamiętam, jeszcze jak byłam w trzeciej klasie gimnazjalnej, on liturgii uczył. I to był taki przystojny, tam za nim się oglądały panie, ale on się tak starał, że ten sierociniec, prawda? Tak jak z pewnością w większości wiedzą, co się stało. Polska chciała zabrać, komunistyczna, i starała się zabrać te dzieci do Polski, a znowu rząd w Londynie nie pozwalał na to, tak że ich włóczyli wszędzie, do Włoch, później postarali się do Quebec części Kanady. Tam do szkół i tak dalej. Tak że naprawdę zawdzięczamy

w większości utrzymanie tych młodych. Zgromadzenie mają, bardzo często się spotykają. Młodzież wtedy to wszystko była. I właśnie spotykaliśmy księdza Królikowskiego w Ameryce, bo odszedł [niezrozumiałe, 00:56:46], była jego uroczystość kaptańska, bo to był, zdaje się, nie wiem, 1925 czy któryś rok. I odwiedzaliśmy ojca. Wspaniały człowiek. I całą masę różnych, każdy się starał pomóc, żeby to uratować. Ale zdradzili nas. Pan Churchill, Roosevelt. Jeśli doszło do tego, że... Przecież kto Cassino zdobył, Monte Cassino? Pierwsza flaga, Monte Cassino, Polska. Ile tam zginęło. Czerwone maki na Monte Cassino. I nas tak zdradzili. I oddali tę część Polski. Jak się urodziła, nie mogłam tego zapomnieć, bo zawsze miałam takie piękne wspomnienia. Urządzaliśmy na osadzie Mikołaja, bo to wszystko było w jednym domu w tym roku, później różne Jasełka też dla dzieci, przedstawienia różne. To było tak zgrane. Koło gospodyń dla pań. Bo w większości z miast przychodzili. Gotować się uczyły. A drugim obowiązkiem osadników było kształcić Ukraińców, w jakiś sposób utrzymywać ich te kawałki ziemi, w jakiś sposób zdobyć jak najwięcej plonów i tak dalej. To był obowiązek. To Piłsudski nakazał, że to muszą robić. Ale później niektórzy się wywnętrzali. Nie będę mówić o zgrozach, jakie były popełnione. Ale z nich niektórzy byli i dobrzy. Ja pamiętam przed samą wywózką nie powiedział nam, przychodziło zawsze bydło i tak dalej. To tatuś sprowadził skądś cielaki, żeby to była jakaś inna rasa, ja nie pamiętam. Były czerwone, były łaciate. I mówi, że: „Oddaj mi to, bo nie wiadomo, jak długo tu będziecie”. Powiedział to, ale tatuś nie spodziewał się, że coś tam może być. Że ja ci to oddam z powrotem, jak wrócisz. Tak było. Wszystko było cicho zrobione, ale szkoda. Szkoda, dlatego, że ja się dowiedziałam, że ci, którzy pozostali na posiołku, nie mieli szansy, żeby dostać. Później zabronili. Bo przecież chodziło o Katyń. Zabronili. Zaczęli wydawać paszporty rosyjskie. To było okropne. Ja sobie nie wyobrażam. Ale nie spodziewali się tego. Nie spodziewali się tego. To było bardzo, bardzo okropne.